

W Chłodzie Osiczyn W Dymie Traw

Marek Grechuta

W chłodzie osiczyn, w dymie traw
przed siebie idę i dla siebie.
Nad dnem piaszczystym wisi staw,
nad stawem wóz ze zbożem jedzie.

W zieleni stawu chłodzę ciało,
wycieram się w iskrzący snopek.
Co się stać musi, już się stało.
Pod frakiem chytry drzemie chłopek,
gotów na oklep w każdej chwili,
dudniąc w bok koński gołą piętą,
jechać do ognisk miotających
gwiazdy i lubczyk w gminne święto.

I stamtąd nikt mnie nie wywoła
pod światło lampy i rozsądku.
Wystarczy zdjąć cylinder z czoła,
aby znów zacząć od początku.

Na nic twój pacierz, matko, zda się.
Proboszczem syn twój nie zostanie.
Deszcze obmyją ciało ptasie
i blask uderzy z jego czoła
na takie psalmu zawołanie,
jakim się zmarłych z nocy woła.

Przyjdą doń owe czarne zimy
tropione gorzko przez zwierzęta.
On, że ich źrenic głód pamięta,
odda im siano, w którym śpimy.
I ptakom odda głowy koło,
może się choć na gniazdo zda,
jeśli i ludziom, i aniołom
wadzi jak rzece ciemna kra.

Odtąd na głowie z gniazdem wronim
szedł będzie przez kantyczki wsi.
Mnisi w jałowcach przyjdą po nim,
z psalmem się zmiesza skowyt psi.
Ale już furtki skrzypią w sadach
i nocą chłopcy idą za nim
po wypalonych stopą śladach
mrocznym mokradłem, mchem bocianim.

Tam on ukryty w mroku liści,
ścierając z twarzy potu sól,
ciemne źrenice im oczyści
zmieszaną z octem żółcią pól.